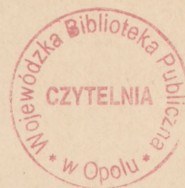


K R A K Ó W
6 PAŹDZIERNIKA 1933



ŚWIĘTO KAWALERJI POLSKIEJ

Kolekcja
Emila Kornasia



OMKEK

332731

STARANIEM I NAKŁADEM ZARZĄDU
STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 101/2015/CM

W DNIACH 5 I 6 PAŹDZIERNIKA 1933 ROKU MIASTO
KRAKÓW PRZEŻYWAŁO NIEZAPOMNIANE CHWILE.
W UCZCZENIU 250-LECIA WIELKICH ZWYCIĘSTW
KRÓLA JANA SOBIESKIEGO POD WIEDNIEM I PAR-
KANAMI ODBYŁO SIĘ W MURACH PRASTAREGO
GRODU PODWAWELSKIEGO NIEZWYKŁE I PODNIOŚŁE
ŚWIĘTO KAWALERJI POLSKIEJ.
NA BŁONIACH KRAKOWSKICH W OBECNOŚCI GŁOWY
PAŃSTWA, PRZEDSTAWICIELI RZĄDU, SEJMU I SE-
NATU, W OBLICZU WIELOTYSIĘCZNYCH RZESZ —
PRZED WODZEM NARODU MARSZAŁKIEM
JÓZEFEM PIŁSUDSKIM PRZEDEFIŁOWAŁO
12 PUŁKÓW KAWALERJI, BUDZĄC SWĄ POSTAWĄ
I SPRAWNOŚCIĄ POWSZECHNY PODZIW ORAZ MIŁOŚĆ
DLA ARMJI POLSKIEJ I JEJ ZWYCIĘSKIEGO WODZA.
DLA UTRWALENIA W PAMIĘCI TYCH DNI HISTO-
RYCZNYCH — ZARZĄD MIASTA KRAKOWA WYDAJE
ODCZYT GENERAŁA BOLESŁAWA WIENIAWY-DŁU-
GOSZOWSKIEGO, POŚWIĘCONY UROCZYSTOŚCIOM
KRAKOWSKIM ORAZ ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE Z NAJ-
WAŻNIEJSZYCH CHWIL ŚWIĘTA KAWALERJI POLSKIEJ.
DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY TEGO WYDAWNICTWA
PRZEZNACZONY JEST NA BUDOWĘ MUZEUM
NARODOWEGO W KRAKOWIE.
KRAKÓW, DNIA 11 LISTOPADA 1933 ROKU.



Dr Mieczysław Kaplicki

DR. MIECZYSŁAW KAPLICKI
PREZYDENT STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA

GEN. DR. BOLESŁAW WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI

WZRUSZENIA KRAKOWSKIE

ODCZYT WYGŁOSZONY POD POWYŻSZYM TYTUŁEM
W DNIU 16-GO PAŹDZIERNIKA W SALI FILHARMONJI
W WARSZAWIE, DRUKOWANY ZA ZEZWOLENIEM AUTORA

K R A K Ó W 1 9 3 3

MUSZĘ wyznać na wstępie, że zgodziłem się na ten odczyt poniekąd pod batem, pod batem nalegań i namów moich kolegów, których zdaniem należy stolicę zapoznać z atmosferą, z klimatem powiedzmy, bo tak będzie modnie, uroczystości krakowskich.

NACISK ten na mnie był potrzebny, bo po pierwsze nie lubię Warszawy, a po drugie nie lubię publiczności. Warszawy dlatego, bo ciągle jeszcze nie przywykła do swej roli w rządzie stolic, przy wszystkich swoich zaletach stoi tak, jak w salonie porusza się człek niedostatecznie obyty, któremu również niebezpiecznie śliską jest i posadzka i rozmowa z towarzystwem, tak samo, prawie dostojnem, jak stojące po kątach meble, który zatem niepewny jest każdego swego słowa, każdego ruchu. Zachowanie się jego jest w konsekwencji pozbawione wdzięku. DO publiczności zaś odnoszę się z dużym niedowierzaniem, ponieważ jest monstrum, żądnem łaskotliwych, a łatwostrawnych emocyj, nadomiar psutem z tego miejsca, t. j. z estrady umizgami primadonn, aktorów, wirtuozów, jednym słowem tych wszystkich nieszczęśników, których istnienie zawodowo związane jest z aplauzem kilkudziesięciu rzędów krzeseł, obciążonych pewną ilością kilogramów pozornie żywej wagi.

WĄTPIĘM zawsze i teraz powątpiewam, czy sala koncertowa, czy zebrana w niej publiczność może być tem medjum, zapomocą którego można serce Warszawy wprowadzić w dreszcz, gorący dreszcz jaki wstrząsnął Krakowem w dniu 6 b. m.

WĄTPIĘ dlatego przedewszystkiem, bo i ja sam czuję się niepowołanym i nieudolnym do odtworzenia i wywołania go pośrednikiem i instrumentem.

CZEGOŻ to szukają, ci ludzie, co borykają się z tysiącem trudności, tysiącem przeszkód i niebezpieczeństw dla naszej ojczyzny, dla jej istnienia, jej wielkości i potęgi, czego oczekują? Za czem tęsknimy, przedewszystkiem my, żołnierze?

CHCIELIBY, aby ten zapal i entuzjazm, który płonie w ich sercach i dusze ich rozżarza, ogarnął niby pożarem całe społeczeństwo, choć czasem, chociaż niekiedy, choćby płomieniem palącego się stogu słomy.

NA BOGA! na Boga żywego! Toć przeżyliśmy w naszym pokoleniu chwil takich sporo. Początek wielkiej wojny i pojawienie się na polach bitew żołnierza polskiego, pierwszy — przecież jakoby tak oczekiwany cud, cud urzeczywistniony przez Józefa Piłsudskiego. Potem glorię wojenną tego żołnierza, potem weźmy chociażby ogłoszenie niepodległości Polski przez okupantów. Akt wymuszony, nieszczerzy, ale przecież windujący sprawę polską na widowni politycznej świata wysoko, zmuszający wszystkie gabinety wszystkich państw do liczenia się i przelicytowania tego precedensu. Największy dureń, najbardziej zakłamaną krętacz polityczny, nie mógł tego nie widzieć i nie wiedzieć, i zdawało się, że cała ziemia nasza, jak długa i szeroka zadrży, że w Krakowie, gdzie akt ten został uroczyście ogłoszony, wieże kościoła Marjackiego padną sobie w objęcia z radości...

GDZIEŻ tam. Na ulicach stał obok pepeesa endek, obok aktywisty pasywista, obok konserwatysty demokrata, kalkulował, jak fakt ten zaważy na interesach jego partyjki, jego orjentacji, jego interesów i gasił radość sprzeczką, inwektywami, żartem cynicznym, lub gestem lekceważenia.

ODDZIAŁY legionowe wkraczały w 1916 r. do Warszawy — z jaką tęsknotą, z jaką radością, boć przecież do stolicy — któż potrafi te uczucia opisać, żołnierze legionowi pamiętają wszyscy ten moment, i przeżyli go wszyscy wspólnie, choć nie danem im było uczestniczyć w tej powitalnej przed stolicą defiladzie.

I CÓŻ?...

Na ulice miasta wyszedł tłum ciekawy
i podeptał serca rzucone na bruk.

ODNIEŚLIŚMY w 1920 r. po tragicznych zmaganiach się z przewagą wroga zwycięstwo pod wodzą Józefa Piłsudskiego, jedno z największych i najbrzemienniejszych w skutkach w całej naszej historii. Rozwydrzyła się fala kłamstw, intryg, oszczerstw, zalewająca błotem wszystko, i utonął entuzjazm zaduszoną została radość, potrzebna do życia, jak swobodny oddech. ZE ZWYCIĘSKIEJ wojny wracały pułki, zdziesiątkowane, ze sztandarami uwieńczonymi sławą, ozdobionymi krzyżami „Virtuti Militari“. Sztynną uroczystością przyjęła je Warszawa. GDZIEŚ czasem, w jakimś Lublinie, w Wilnie, we Lwowie drgnęło coś w ludziach, jakiś promień ciepła przedarł się przez chmury obojętności i gasł słaby, zalękniony. Ale i on wystarczył, by zdobyć nasze serca, tak łatwe do zdobycia mieszkańcom tej ziemi.

A PRZECIEŻ teraz ciągle, bez przerwy dzieją się polskie cudy na lądzie i na niebie. Nad tą samą Warszawą przed dwoma tygodniami miała miejsce rewja, rewja wspaniała, dotąd u nas niewidziana, podobna do tych, na jakie z zazdrością patrzyliśmy w kinach. Nasi lotnicy krążyli nad miastem w szykach wędrownego ptactwa, ze sprawnością nie zrównaną, na świetnych, zwrotnych i ścigłych, niby jaskółki, samolotach, naszej polskiej produkcji.

JAKAŻ dłoń podniosła się do nich w powitaniu, czyje serce poleciało ku nim z życzeniem, w jakim dzienniku znalazło się echo wzruszenia na świadomość, że jest siła, jest flota skrzydłata, gotowa i zdolna obronić stolicę przed gazami i ich widmami, które straszą nas w nocy i w dzień.

LOTNICY nasi dzielni pokazali Warszawie, że może spać spokojnie i Warszawa... spała. Spała także i podczas ich zadziwiających, popisowych zaiste ćwiczeń.

A WSZAKŻEŻ spowiadając mi się ze swoich wrażeń po powrocie z Krakowa z rozżaleniem mówili mi szwoleżerowie o kontraście, z jakim przyjęła wracający do swych koszar pułk ulica warszawska. Na widok przeciągającego oddziału, na widok sztandaru, przepasanego wstęgą krzyża „Virtuti Militari“, jeden tylko starszy pan uchylił kapelusza z gestem przyjaznym i okrzykiem: „Niech żyją Szwoleżerowie!“.

CHODNIKAMI przeciągał do swych zajęć obojętny tłum przechodniów. Kilku gapiów przystało na skraju trotuaru.

NIE wiem, czy państwo potrafią sobie wyobrazić, co czuje taki lotnik, kiedy nazajutrz daremnie szuka w gazetach echa uczuć, wzbudzonych w mieszkańcach nadwiślańskiego grodu jego podniebnymi manewrami, co myśli szwoleżer, zsiadając z konia.

BAŁBYM się powtórzyć przez wzgląd na obecność pań, w jakich słowach dają wyraz tym uczuciom.

OTÓŻ w Krakowie nie było gapiów. Dziesiątki tysięcy ludzi wyległo na ulice, dziesiątki tysięcy ciżbiły się na błoniach podczas rewji, był to jednak tłum żywy, nie gapie, ani nawet nie statysci, lecz aktorzy, biorący czynny udział w uroczystości w defiladzie, wzruszający się razem z nami, cięszący się z nami szczerze i serdecznie tem świętem, które z woli Pana Marszałka Piłsudskiego było świętem kawalerji.

ULICE i błonia grzmiały od okrzyków i wiwatów, białe dłonie niewiast, niczem motyle, trzepotały się nad uśmiechniętymi twarzyczkami, męskie ręce inteligentów i robotników powiewały kapeluszami, nad tłumem setki dzieci trzymanyh przez troskliwe rodzicielskie ramiona, roziskrzonymi oczkami poily się widokiem, który z pewnością nazawsze pozostanie im w pamięci.

A WIDOK był równie piękny, jak niezwykłą była uroczystość.

LAT temu sto pięćdziesiąt, za panowania Stanisława Augusta obchodziła, tańcząca i bawiąca się nad otwartą już mogiłą ojczyzny stolica, stuletni jubileusz odsieczy wiedeńskiej. Z rozkazu króla kosztem 100.000 złotych urządzono wspaniałą karuzel na cześć Jana III. BEZTROSKLIWĄ zabawę zamącił mały czterowersz:

Sto tysięcy karuzel! — jabym trzykroć złożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył!

JAKŻEŻ inaczej dziś się rzeczy mają, o ileż inny, żadną minorową refleksją niezmacony nastrój panował w Krakowie.

TWARDY, nieustępliwy zwycięski wódz i stworzona przezeń i jego genjuszem oraz krwią własną, hojnie przelaną, zwycięska armja, defilada dwunastu pułków kawalerji świecili wraz z wawelskim grodem sławę oręża wielkiego przodka.

DWANAŚCIE pułków kawalerji, to zaledwie nieco więcej niż jedna czwarta jej zastępów, to słaba tylko częśćka całej naszej armji.

ALE trzeba było widzieć Kraków. opasany podwójną ich wstęgą, kiedy rankiem zdążyły na miejsce rewji, trzeba było widzieć, jak idealnie równymi czworobokami stanęły na błoniach, trzeba było słyszeć okrzyki, jakimi witały swego Wodza, okrzyki, burzliwą falą przelewające się nad szeregami, budzące odzew potężny wśród zebranych tłumów.

DWANAŚCIE pułków jedynie, ale proszę państwa, 12 pułków kawalerji, ustawionych na jednym błoniu, to widok w dzisiejszych czasach niezmiernie rzadki i niezmiernie cudny. A POTEM defilada. Widzieliśmy defilad mnóstwo. Krakowska defilada jeszcze jednym więcej stała się dowodem prawdziwości słów Goethego: *In der Beschränkung zeigt sich der Meister*. WIDZIELIŚMY zatem niejednokrotnie liczniejsze tego rodzaju manifestacje, widzieliśmy za oddziałami wojska maszerującą policję państwową, oddziały przysposobienia wojskowego, wszelkiego autoramentu i płci.

NA błoniach krakowskich przed Panem Prezydentem i Panem Marszałkiem przeszło w klusie tylko dwanaście pułków jazdy.

DEFILADA klusem — wybaczenie państwo techniczną uwagę — jest najtrudniejszą próbą dla mej broni. Stęp, lub klus marszowy, są naszym codziennym chlebem, nie przedstawiają tedy specjalnych trudności dla oddziałów, galop, czy cwał, najefektowniejsza forma naszego popisu, mogą się obejść bez precyzji w wykonaniu, porywają bowiem samą fascynacją ruchu, furkotem proporców na wietrze, werblem kopyt, który wprawia w drżenie zarówno ziemię, jak i serca widzów, podczas gdy dosiadany klus, przepisany przez ceremonjał kawaleryjski podczas defilady, wymaga niezwyklej sprawności jeździeckiej, wymaga zwłaszcza niesłychanej, pedantycznej precyzyjności w wykonaniu.

EGZAMIN krakowski wypadł wspaniale.

DWANAŚCIE pułków, idealnie wyrównanemi szeregami, w odstępach między pułkami, szwadronami i plutonami, jak gdyby odmierzonych cyrklem, przewinęło się wzdłuż błoni, niby dwanaście tanecznic w balecie, złożonych z samych primabalerin, niby dwanaście bezcennych, ze wszystkich mórz świata wyłowionych pereł jakiegoś królewskiego naszyjnika, niczem dwanaście kunsztownych sonetów, w zbytkownym tomiku mistrzowskich wierszy. DUMĄ pęczniały serca tłumów, duma przepelniać musiała piersi generalicji, a nie potrzebuje chyba objaśniać, co się działo z nami, dowódcami większych jednostek kawalerji, wyciągniętemi szeregiem na lewo od podjum, skąd Pan Marszałek przyjmował defiladę. Z jakim niepokojem oczekiwaliśmy jej początku, z jaką radością obserwowaliśmy jej przebieg i co się z nami działo zwłaszcza w tym momencie, gdy po skończonej defiladzie podszedł do nas Pan Marszałek, zadowolony i uśmiechnięty i odpowiadając na nasz ukłon, oznajmił nam: „No, gratuluje wam, panowie kawalerzyści, defilada wypadła pięknie“.

ZDAJE się, że ulegliśmy wszyscy, jakby słonecznemu porażeniu, ja osobiście, mimo odmien-
nych pozorów, chodzę od tej chwili z zadartym nosem.

SŁABYM oddźwiękiem naszego wzruszenia niech będzie następujący epizodzik:

PO REWJI, podczas zwiedzania wystawy, podszedł do mnie jeden z dowódców pułku, świetny
oficer, stary kompan mój z beliniackich jeszcze szeregów, i donośnym stentorem, mimo
bliskości Marszałka oraz zagranicznych gości, wykrzyknął:

„GENERALE, tak było ślicznie, czuję, że urżnę się dziś wieczór“.

„ZDAJE mi się, mój kochany — odparłem, by go nieco zmytygować — że już teraz jesteś,
bracie, pod gazem“.

„JAKTO — odkrzyknął mi z wyrzutem, głosem pełnym rozżalenia — to w taki dzień, nawet
w taki dzień, raz na dwieście pięćdziesiąt lat, nie wolno mi się upić!“.

PRZY wszystkich radosnych refleksjach niepoślednią odgrywało rolę wspomnienie, że z tego
Krakowa lat temu niespełna dwadzieścia, wyruszył w pole pierwszy załążek naszej kawalerji,
ów słynny patrol Beliny, że na tych samych błoniach piątego sierpnia 1914 r., w dzień przed
wymarszem do Królestwa na ostateczną rozprawę o niepodległość naszej ojczyzny, przerabiała
ćwiczenie bojowe pierwsza kadrowa kompanja, 160 ludzi w sumie.

JAK tu nie zestawić w upojeniu radosnem, tych niedawnych słabeńkich początków z istnieniem
wielkiej, sprawnej nowoczesnej armji, armji jakiej nigdy nie widziały ziemie Rzeczypospolitej.
TOCZEŻ przyjmował tę defiladę twórca Legionów, jeden z tych wodzów, ostatni w rządzie
tych, co sprawiali, że —

Choć nas nie było, przecież my bywali,
Ponad grobowo, choć w grobie złożeni,
Na bojowiska każdego przestrzeni
Z orłem ze srebra i mieczem ze stali...

A PIERWSZY z nich, któremu Opatrzność dała ujrzeć owoce daremnie przez jego
poprzedników oczekiwane.

A TOCZESZ wśród zebranego na błoniach oficerstwa stali Grzmot-Skotnicki, Głuchowski,
Skrzyński, Hanka-Kulesza, wszyscy z pierwszej siódemki, stał generał Kasprzycki, który
nas, kadrowiaków, wyprowadził w pole.

TO ZESTAWIENIE niedawnej, tak niepewnej przeszłości z olśniewającą rzeczywistością
dzisiejszego dnia, musiało się nasunąć każdemu bez wyjątku, w tym tłumie nieprzebranym,
ciżbiącym się na ulicach i błoniach Krakowa.

CZYŻ nie dość, by serca Polaków przepełnić szczęściem, radością i dumą.

SKORO mówimy o wzruszeniach, postarajmy się odgadnąć te, jakie nakształt lamp oliwnych,
płonących przed ołtarzami, rozświeślały serca defilujących przed swym Naczelnym Wodzem,
szwoleżerów, ułanów i strzelców konnych.

WSPOMINAŁEM już podczas mego odczytu w Krakowie, czym jest dla żołnierza defilada
przed Wodzem.

JAKO adjutant Komendanta za czasów legjonowych, później zaś jako szef Gabinetu
Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, miałem niejednokrotnie szczęśliwą sposobność
z poza Jego pleców patrzeć na szeregi oczu żołnierskich, wbitych w Jego oczy z takim
żarliwym zapamiętaniem, z takim oddaniem bezgranicznem, z takim zaufaniem, jakiego
się nie spotyka nigdy i nigdzie. Wsiąkały te spojrzenia mimochodem w moje serce i dlatego
może wiem dobrze, czym jest ta jedyna na świecie miłość żołnierska.

PAMIĘTAM, mówił kiedyś o niej Komendant do generała Romei, przedstawiciela armji
włoskiej w Polsce, kiedy stary żołnierz ze łzami w oczach patrzył, jak oszaleli z radości żołnierze
nasi nosili Komendanta na rękach w dniu wręczenia mu od armji buławy marszałkowskiej.

„CO MNIE uderza w miłości żołnierskiej do Wodza“ — powtarzam prawie dosłownie

uwagę Komendanta, gdyż zwrócił się z nią do włoskiego generała w mej obecności —
co najbardziej zastanawia, to obok napięcia tego uczucia jego odrębność, jego powiedział-
bym paradoksalność. Wszakżeż w zasadzie miłość ma za cel trwanie, przedłużenie życia,
w dzieciach, owocach miłosnego oddania, miłość i śmierć to są, jakoby dwa bieguny,
między którymi przewala się życie. Tymczasem miłość żołnierza do Wodza zawiera
w istocie swej myśli o śmierci, przez mnogie niebezpieczeństwa prowadzi prosto w jej ob-
jęcia: „Rozkaż, a pójdę w ogień morderczy“ — oto, jak oświadcza się żołnierz swemu wo-
dzowi, — skłoń ręką, a pójdę na pewną śmierć, pójdę z pieśnią na ustach, skoro tego zażadasz“.
W PIĘKNEM i pełnem wzniosłości dziele „Servitude et Grandeur Militaires“ powiada
Alfred de Vigny, że najpiękniejszą rzeczą na świecie jest po natchnieniu poświę-
cenie. Po poccie zaraz następne miejsce zajmuje żołnierz, gdy idzie o kolejność
w zdolności do porywania mas ludzkich, i do budzenia entuzjazmu.

MIŁOŚĆ żołnierza do Wodza — tak mi się wydaje — rodzi się z przeświadczenia, że wódz,
prawdziwy wódz, będąc tak samo żołnierzem, dzieli z nim wszystkie poświęcenia, geniuszem
zaś swym jest mu rękojmnią, że ofiarne trudy żołnierskie, ukoronowane śmiercią na placu boju,
nie pójdą na marne.

NIE CHCĘ jednak nudzić państwa moją żołnierską filozofją, ograniczę się więc do dowo-
dów tej zapalczywej miłości bez sięgania w przeszłość, w przykłady jej tak bogatą, do
dowodów, związanych ściśle z uroczystościami krakowskimi.

PO DEFILADZIE rozmawiałem z moimi oficerami, wypytując ich o wrażenia. W jednym
szczegółie wszyscy byli zgodni. W czasie defilady nie widzieli nic, poza Komendantem. Ani
kopca Kościuszki ozdobionego flagami, ani trybun ani tysięcznych tłumów, ani nawet
pięknych niewiast w tym tłumie — a możecie mi państwo wierzyć, że oczy kawalerzystów
mają w tym zwłaszcza kierunku specjalny trening — nikogo, tylko Marszałka.

„WIDZIAŁEM najpierw jednego oficera kierunkowego, potem drugiego, a potem już nic,
tylko oczy Pana Marszałka“ — tak powiedział mi jeden z rotmistrzów, doświadczony dowódca
szwadronu karabinów maszynowych.

NIEKTÓRZY, nieliczni tylko, widzieli obok Marszałka rycerską sylwetkę pułkownika Warthy,
w pelerynie, z orlim piórem u góralskiego kapelusika.

(NAWIASEM mówiąc, cała armja jest wdzięczna pułkownikowi Warcie za to, że tak pięknie,
tak porywająco wyglądał, że Panu Marszałkowi tak było z nim do twarzy).

MĘDREK współczesny wytłumaczy to zjawisko zbiorowym objawem hipnozy, szkoda tylko,
że takie tłumaczenie niczego nie tłumaczy.

JESZCZE jeden przykład.

W PIERWSZYM pułku szwoleżerów jeden szeregowiec, obaliwszy się z koniem w czasie
przemarszu do Krakowa złamał nogę. Chłopak ten za nic nie chciał wyjść z szeregów i po
dwóch dniach marszu defilował ze złamaną kością podudzia.

PROSZĘ, niech sobie państwo zechcą wyobrazić, delikatni panowie, i jeszcze delikatniejsze
panie, co to znaczy przez trzy dni nie zdejmować buta z cholewą ze złamanej nogi i trzeciego
dnia dziesięć godzin wysiedzieć w siodle.

JAK silnym musiał być u tego chłopaka bodziec psychiczny, pokonujący podobny ból, jak
gorącym było jego pragnienie defilowania przed Naczelnym Wodzem i Szefem pułku.

MOŻE ten przykład starczy dla pokazania, jak to my, żołnierze, kochamy naszego Komendanta.

JAK państwu wiadomo, obchód krakowski był związany z 250 jubileuszem zwycięstwa króla
Jana Sobieskiego pod Wiedniem.

W PRASIE jednego z państw europejskich ukazało się mnóstwo całych artykułów i rzekomo
naukowych rozpraw, odmawiających Polakom prawa do szczytowania się tem zwycięstwem.
NIE chciałem w Krakowie dyskutować z temi głosami, obchodzącymi się z prawdą dość bez-
ceremonjalnie. Może mi się uda dziś mimochodem załatwić się z nimi w kilku słowach. Dla

scharakteryzowania metod używanych przez tę prasę wspomnę jeszcze przedtem, że w jednym z takich pism „Der Uhu“ znalazłem przed kilku laty w zestawieniu wojen, które się rozegrały na świecie po wielkiej wojnie, wzmiankę ujmującą przebieg wojny polsko-bolszewickiej w następujący sposób:

„WOJNĘ sprowokowali Polacy zajęciem w roku 1920 Ukrainy i Kijowa. Fakt ten obudził drzemiący patriotyzm rosyjskich mas, mnóstwo oficerów dawnej carskiej armji zaciągnęło się dobrowolnie w szeregi wojsk bolszewickich. Pod ich dowództwem armja bolszewicka, rozbijwszy Polaków, pędziła ich w popłochu i w nieładzie cofające się wojska i wkrótce znalazła się pod murami Warszawy, skąd, niewiadomo z jakiego powodu cofnęła się w granice Rosji“. DOSŁOWNIE — niewiadomo z jakiego powodu.

JAKICHTO trzeba prostych umysłów, by wykoncypować tak chytne tłumaczenie naszego zwycięstwa i jakich krytycznych łbów, by podobne tłumaczenie przyjąć.

ARGUMENTY tej prasy o wiedeńskiej potrzebie ograniczają się do następujących tez:

1) Za odsiecz Wiednia zostali Polacy opłaceni.

2) Udział ich był liczbowo znikomy.

3) Sobieski dowodził tylko pro forma, właściwym zaś dowódcą był ks. Karol Lotaryński.

4) Uderzenie Polaków nastąpiło późno, kiedy już sprawa była przesądzona.

5) Udział ich ograniczył się jedynie do rabowania zdobyczy.

AD 1): Kto zawsze dla celów zaborczych wkraczał do innych krajów, nie zrozumie nigdy, że za kosztą wyprawy niepołączonej z żadną bezpośrednią korzyścią, a z mnóstwem trudów i strat, należy się odszkodowanie.

AD 2): Na ogólną sumę 70.000, Polaków było pod Wiedniem 28.000 t. j. znacznie więcej niż jedna trzecia, z przewagą ciężkiej jazdy, decydującej podówczas o zwycięstwie.

AD 3) i 4): Dowodem tego że Sobieski dowodził istotnie, a nie ks. Karol, jest właśnie użycie Polaków do ostatecznego uderzenia. Tak robi zawsze każdy dobry wódz. Wojska swego, które zna i któremu ufa, używa do dwóch czynności: do rozpoznawania i do decydującego uderzenia, które oczywiście następuje w ostatniej fazie bitwy, poprostu dlatego, że właśnie tę bitwę kończy.

OSTATNI zaś zarzut tyczący rabunku, uświęconego zresztą ówczesnymi zwyczajami, jest najlepszym dowodem, że nie kto inny, ale właśnie Polacy byli pierwsi na tyłach i w centrum ugrupowania tureckiego.

DLA mnie zatem argumenty tej prasy dowodzą niezbitcie, że król Jan sprawował istotne dowództwo pod Wiedniem i że uderzenie Polaków rozstrzygnęło o losach bitwy.

PO TYM, krótkim na szczęście odskoku w dziedzinę zimnego rozumowania, wróćmy znowu do uczuciowych przeżyć, związanych z dniem 6 października.

GDY mowa jest o wzruszeniach, nie mogę nie wspomnieć o uczuciach, jakich doznawaliśmy wszyscy, zebrani na uroczystościach krakowskich oficerowie, na widok obecnych pomiędzy nami przedstawicieli narodu i armji tureckiej. Uczuciom tym za pozwoleniem Pana Marszałka mogłem dać wyraz w kilku słowach zwróconych do tych miłych gości.

DLA braku czasu niewyczerpujące było to przemówienie. Dodam w nawiasie, że gdy poprosiłem Pana Marszałka o pozwolenie na zabranie głosu, otrzymałem je w tej formie: — DOBRZE — odrzekł mi Pan Marszałek, spoglądając na zegarek — daję panu cztery minuty“ KIEDY zaś skończyłem mój toast, gdy z werwą kawaleryjską i gromkiem a serdecznem — niech żyją! wychyliliśmy kielich zacnego węgryna, taką obdarował mnie uwagą:

„DOBRZE Wieniawa, ale mówiliście o minutę za długo“. Poczem zwracając się do wszystkich obecnych dodał — „Panowie śpieszą natychmiast na wyznaczone wam podczas defilady miejsca“.

DZIŚ, mając nieco więcej swobody w czasie — biada wam szanowni słuchacze — mogę dłużej zatrzymać się przy temacie mego toastu.

WSZYSCY państwo wiecie, że nie przesadzałem, podkreślając ogólną w Polsce sympatję i przyjaźń dla Turków, naszych dzielnych ongiś przeciwników, a później sprzymierzeńców. WIEMY wszyscy, że od traktatu Karłowickiego w roku 1769, państwo tureckie było dla Polski, dla Polski chylące się ku upadkowi, lojalnym sprzymierzeńcem. Wszakże dla wsparcia konfederacji barskiej, Turcja wdała się w długą, uciążliwą i niepomyślnie dla niej zakończoną wojnę. WIEMY również wszyscy, że Turcja była jedynym państwem europejskim, które odmówiło podpisu pod traktatem wiedeńskim z roku 1815, decydującym ostatecznie i oficjalnie rozbiór Polski.

NIEMA Polaka, któryby nie słyszał o całym szeregu gestów, świadczących o tem, że sympatje do Polski, do Lechistanu żyły ciągle w masach narodu tureckiego i w sercach jego przedstawicieli. WSZYSCY słyszeliśmy o tem wolnem krześle przedstawiciela Polski w sali audjencjonalnej pałacu sułtańskiego, o powtarzaniem rok rocznie zapytaniu — dlaczego niema przedstawiciela Polski — i o stereotypowej odpowiedzi, że „nieprzewidziane przeszkody uniemożliwiły mu przybycie“. BYŁY to gesty, platoniczne gesty, nie mające żadnego praktycznego znaczenia, ale świadczące dobitnie o lojalności wobec dawnego sprzymierzeńca.

ALE już fakt niemianowania na ziemiach dawnego Królestwa Polskiego przedstawicieli konsularnych miał i praktyczne skutki, bardzo niedogodne dla zamieszkujących te ziemie obywateli państwa tureckiego, pozbawiając ich opieki własnego państwa, wpływając ujemnie na ich interesy materialne i t. d.

MNIEJ znanym jest fakt następujący:

PO WOJNIE bałkańsko-tureckiej, Sułtan na żądanie Francji zrzekł się protektoratu nad Algierem i Tunisiem. Kiedy rząd rosyjski, chcąc tę sytuację wyzyskać jako precedens, zwrócił się do Wielkiej Porty z domaganiem zamianowania przedstawicieli konsularnych na zabranych ziemiach polskich, otrzymał odpowiedź, że sułtan mógł i miał prawo wyrzec się protektoratu nad wymienionymi krajami bo ich władcy byli jego wasalami, podczas gdy z Polską Turcja była związana aktem przymierza.

O TYCH rozmowach prowadzonych w ciszy sekretnych dyplomatycznych rozmów między gabinetami, dowiedziałem się za czasów mego pobytu w Paryżu przed wielką wojną jeszcze, dowiedziałem się o nich z ust moich przyjaciół i kolegów Turków.

MUSICIE mi Państwo wybaczyć, że w tem miejscu wplotę we wspomnienia krakowskie garstkę paryskich wspomnień, wiążących się z niemi żywo w mej pamięci.

NA TLE roboty strzeleckiej na rozkaz centrali z kraju, a centralą był przecież Józef Piłsudski, ciągle, zawsze i wszędzie Józef Piłsudski, zawiązaliśmy w Paryżu Koło Polsko-Tureckie. Oficjalnym celem koła było zbliżenie kulturalne i nawiązanie stosunków artystyczno-literackich, zamierzenia nasze jednak były dalej idące. Szukaliśmy kontaktu z tymi ludźmi, co dążyli do uzdrowienia „chorego człowieka“ jak podówczas nazywano Turcję. Prezesem towarzystwa był Wacław Sieroszewski, w skład zarządu wchodził: Tadeusz Strug, ś. p. Bronisław Piłsudski, brat Komendanta, wielki uczony, jedyny bodaj na świecie znawca zwyczajów i języka dzikawczego plemienia Ajnosów, zamieszkującego Sachalin, nadto Tadeusz Gasztoft, syn emigranta, który dłuższy czas przebywał w Turcji i poznawszy charakter Turków, ich zwyczaje i upodobania, zapłonął podziwem i gorącą miłością do tego szlachetnego narodu. NALEŻĄC do grona założycieli towarzystwa, pełniłem tam funkcje sekretarza.

PEWNEGO razu, na wiosnę 1914 r., Sirko zwrócił uwagę na zapowiedziany w dziennikach odczyt p. t. „La Turquie d'Asie et d'Europe“, poczem polecił mi abym udał się nań i w razie potrzeby, zabrał głos w ewentualnej dyskusji.

W MYŚL jego rozkazu znalazłem się na odczycie w gronie słuchaczy. Odczyt, wygłoszony przez jakiegoś młodego człowieka miał charakter wybitnie polityczny i wobec ówczesnego układu stosunków, bardzo ostro przeciw-turecki.

TURCJA została potraktowana w czambuł, jako kraj barbarzyński i dziki, utrzymujący tylko jedną tradycję, a mianowicie znęcanie się nad ludami, podlegającymi jej władzy.

PO zakończeniu odczytu poprosiłem o głos. Odpowiedziano mi z prezydjum odmową oraz oświadczeniem, że dyskusja nie jest przewidziana.

WOBEC tego nie miałem wyboru. Musiałem mówić bez pozwolenia. Rozumując, że staranie dojsia na estradę zabierze mi za dużo czasu i że najprawdopodobniej nie zdołam się tam dostać, wobec oporu, którego należało się spodziewać, wskoczyłem poprostu na zajmowany fotel i z tej zaimprovizowanej mównicy zabrałem głos niespodzianie dla całej sali i dla zaskoczonego prezydjum.

— JAKO obecny na sali Polak protestuję przeciwko niesprawiedliwym i tendencyjnym słowom mówcy. Skierował on pod adresem Turcji cały szereg zarzutów podkreślonych jaskrawymi przymiotnikami, odmawiając jej prawa do miejsca w rzędzie narodów kulturalnych i szlachetnych. A tymczasem jedynie Turcja odmówiła podpisu na najnikczemniejszym akcie w historii, na traktacie wiedeńskim, decydującym rozbiór Polski. Protestuję najenergiczniej... NA SALI powstała wrzawa i zamieszanie, tumult i krzyki.

DZIESIĄTKI rąk porwały mnie nagle, podniosły w górę, dziesiątki dłoni ścisnęły gorąco moje dłonie, dziesiątki biletów wizytowych wtykano mi do rąk. Wówczas dopiero spostrzegłem, że na sali wśród słuchaczy przeważali muzułmanie i studenci Turcy, którzy w ten sposób wyrażali mi wdzięczność za stanięcie w obronie ich ojczyzny.

CO JEDNAK zasługuje na podkreślenie to fakt, że między wizytówkami znalazłem sporo nazwisk francuskich, a w kilka dni potem dostałem list od Piotra Loti'ego wielkiego pisarza i podróżnika, znanego ze swych sympatyj dla narodu tureckiego, list ze słowami uznania dla mnie za moje wystąpienie.

WŚRÓD kulturalnych sfer francuskich Turcja miała zawsze wielu gorących przyjaciół.

JAKŻE zmieniły się od tego czasu stosunki. Nieistniejąca wówczas Polska jest silnem i potężnem państwem, chyląca się ku upadkowi Turcja zajmuje znowu poważne miejsce w rzędzie współczesnych narodów, odrodzona i silna dzięki tytanicznej zaiste pracy jej wodza i obecnego prezydenta republiki tureckiej Gazi'ego Mustafy Kemala.

PRZYSTĘPUJĘ teraz do najważniejszego, kulminacyjnego momentu uroczystości krakowskich, który choć rozegrał się w ciemnej i ciasnej krypcie podziemi wawelskiej katedry, zaćmił wszystkie wspaniałości dnia, nie wyłączając przepięknej rewji na błoniach.

W PROGRAMIE uroczystości paragraf 6 przewidywał:

HOŁD prochom Sobieskiego.

JUŻ kiedy zebrany przed katedrą wyższym oficerom dawał Pan Marszałek swe instrukcje, przeczuliśmy niejasno, że będziemy aktorami, a raczej świadkami niezwyklej sceny.

INSTRUKCJE Komendanta były zadziwiająco szczegółowe:

— BĘDZIECIE panowie tworzyli oddział, maszerujący dwójkami, zwarty oddział wojska, bo macie reprezentować całe wojsko. Macie zapiąć pod brodą podpinkę u czapek, jak oddział na służbie. Musicie maszerować równym krokiem. Uważajcie. Ja was prowadzę. Musicie przejść przez nawę katedry, wybijając krok. Do krypty z prochami króla Jana wiedzie szesnaste schodów. Aby móc maszerować sprawnie musicie między jedną parą a drugą zostawić jeden stopień wolny. Inaczej będziecie się potracali. Nastąpi zamęt. Na dziesiątym schodzie jest skręt na prawo, idący po prawej ręce musi mieć na względzie ten fakt, pamiętać o niem, by na wąskich z powodu zakrętu schodach nie przewrócić się. Krypta z prochami króla jest tak płytka, że czoło oddziału stanie już przed sarkofagiem, podczas gdy ogon będzie jeszcze zstępował ze schodów. Czoło zatem musi maszerować w miejscu aż do mej komendy — stój. Na mój rozkaz — baczność! — salutujecie wszyscy. Wraz ze mną odejmujecie palce od daszków. Potem wyprowadzam was z krypty. Oddział rozwiąże w nawie kościelnej komendą: Czapki zdjąć! Służba wasza skończona, rozchodzimy się, ja na swoje miejsce, wy na wasze dla wysłuchania „Te Deum“. Zrozumieli panowie?“

NASTĄPIŁA chwila pauzy — rzut oka na zegarek — ostrzegawcze — zaczynamy — i rozkaz: Naprzód marsz!

RUSZYLIŚMY. Ruszyliśmy, wybijając starannie krok, jak przystało starym żołnierzom, ruszyliśmy tym jedynym w swoim rodzaju oddziałem, złożonym z wiceministrów spraw wojskowych, ich zastępców, inspektorów armji i dowódców większych jednostek kawalerji.

PRZEZ głowę przelatowało mi mnóstwo myśli, refleksyj, wspomnień i przeczucia.

NAJPIERW zrozumiałem, dlaczego uroczystości krakowskie miały ten specjalnie poważny ton, niezamącony żadnym rozdźwiękiem, żadną fałszywą nutą, żadną wulgarnością, żadnym baroczkowym patosikiem, tuzinkowym, a pretensjonalnym. Nic nie przypominało jubileuszu, czy imienin naczelnika straży ogniowej w Grajdółku. Regulował całą uroczystość we wszystkich szczegółach sam Komendant. Pomyślałem potem o tej staranności i dokładności w przemyśleniu szczegółów najdrobniejszych. Jaki przykład do naśladowania dla dowódców na każdym szczeblu. Najpierw studjum mapy, (kazał sobie bowiem przedłożyć najdokładniejsze szkice ze wszystkich miejsc uroczystości), potem osobisty wywiad terenu, wreszcie dokładne poinformowanie wykonawców. To jest dowodzenie.

POTEM przypominały mi się pewne sceny z życia jednego wielkiego wojownika. Czytałem kiedyś w dziele Vandala „Napoleon i Aleksander I“, w dziele barwnem i żywym, niczem najlepsza powieść, jak ten człowiek wielki umiał dbać o szczegóły i pozorne drobności.

W ROKU 1812, zaczynając wyprawę przeciw Rosji, urządził wielkie przyjęcie w Wejmarze. Mogę się zresztą mylić, co do miejsca, nie zmienia to jednak sprawy. W długim rozkazie regulował zatem, w jakim porządku, co do minuty w czasie, mają wchodzić na salę księżęta Rzeszy niemieckiej, jak mają być anonsowani, z jakimi tytułami; jego wysokość księżę taki to a taki, potem inny, potem wielcy księżęta, potem królowie, jego Majestat Król bawarski, król saski, król pruski wkońcu, potem pięć minut przerwy... L'Empereur! Dalej pisał w tym rozkazie: „Żądam, by wszyscy moi urzędnicy, zwłaszcza zaś oficerowie, wystąpili w najwspanialszych uniformach, żądam wreszcie, aby żony moich oficerów postroiły się w kosztowne szaty i obwieściły się najcenniejszymi klejnotami, tak, aby na ich widok żony dygnitarzy niemieckich żółkły z zazdrości“.

MIAROWY stukot naszych kroków, dźwięczących rozgłośnie i niewiadomo dlaczego znacząco, a jakby groźnie w nawie kościelnej, wypełnionej po brzegi klerem, wysokimi urzędnikami, przedstawicielami rządu i zagranicznych państw, zatrzymał nagle potok mych myśli. W miejsce nich zawładnął mym mózgiem jakiś nabożny niepokój, trwożne oczekiwanie czegoś niezwykłego. Zeszliśmy po schodach. W słabem oświetleniu zobaczyłem w głębi sarkofag kamienny, obok wyniosłą sylwetę Pana Prezydenta, koło Niego Pana Premjera i jeszcze jedną, lub może dwie postacie.

STÓJ! — zabrzmiał rozkaz Komendanta. Z ostatnim dźwiękiem ostróg stuknęły o siebie obcasy. „PANIE Prezydencie — rozległ się w ciszy głębokiej głos Komendanta — przychodzę tu, aby w imieniu armji złożyć hołd królowi, który był wielkim wodzem i umiał wielkie odnosić zwycięstwa“. — To wszystko. Całe przemówienie. Nic więcej. Ale treści w tych słowach, ale znaczenia, ale potęgi — zda się poruszającej kamienie, moc.

— BACZNOŚĆ!

STANĘLIŚMY w ukłonie wojskowym, z dwoma palcami przy daszkach czapek, wyprężeni jak struny. W ciszy słyszeliśmy przyśpieszony, gwałtowny łomot własnych serc. Wtem w ciszę tę wtargnął huk armat donośny, chociaż przytłumiony grubymi murami.

JEDEN... drugi... trzeci... czwarty... Po strzałach, jak gdyby torujących mu drogę, wdarł się poprzez mury, poprzez krużganki, poprzez nawę kościelną, dźwięk Zygmunta, uroczysty, nabrzmiały powagą, głos żywy, wołający ku niebiosom, okrzykujący ziemi całej polskiej nabożeństwo raz na lat setki odprawiane.

A W KRYPCIE na huk armat, na zew dzwonu królewskiego, zaczęły dziać się rzeczy niezwykle. Szmary jakieś rozległy się w powietrzu, szepty, jakieś bezgłośnie, lecz dosłyszalne, może bezpośrednio do dusz przemawiające. Ciężba zjaw majestatycznych, dostojnych mar, wielkich cieniów, wypełniła — tak się nam wszystkim widziało — wnętrze krypty.

HUKIEM armat wstrząśnięty posypał się tynk z wilgotnych ścian... a może... CZY to nie zadrgało coś w sarkofagu, czy nie dźwiga się wieko trumny. NIEWIDZIALNA ciżba stawiała się coraz gęstsza, jakby na huk strzałów armatnich i na wezwanie wszechwładnego w Polsce Dzwonu zbiegały się do lochu wawelskiej katedry duchy z dalekich, rozrzuconych po wszystkich krańcach ziemi naszej, kurhanów i mogił żołnierskich. I OTO wraz z duchami wielkich przodków, Batorych, Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Dąbrowskiego i Kościuszki, wraz z legionem ich żołnierzy, co oddali życie w obronie ojczyzny, byliśmy świadkami, jak jednemu z największych w ich rzędzie, ostatniemu wielkiemu wodzowi wolnej Rzeczypospolitej składa hołd żołnierski w długiej ich liczbie ostatni a pierwszy, który po 150 latach wywiódł ją z grobu niewoli — ten, o którym można powiedzieć słowami Krasińskiego, że:

Mieczem swym wsparty na ojczyzny grobie,
Całun jej w sztandar zamienił zwycięski.

TAK SAMO, jak oni wszyscy, porać się musiał z warcholstwem, walczyć z sobkostwem, borykać się z płatnymi sługusami obcych potentatów, i Jego podobnie, jak ich nie oszczędziło żadne oszczerstwo, żadna nikczemna, płatna, w łotrowskich łbach spłodzona plotka, powtarzana przez rzesze zawistnych, małych, głupich oczajduszów.

I ON, jak przed 250 laty Jan III, odniósł zwycięstwo, co zdecydowało o losach Europy, mimo niewiary, mimo zdrażliwych intryg, rażących go sztychem w plecy, Jego i Jego żołnierzy, a wreszcie zdołał największe odnieść zwycięstwo... nad słabostkami i przywarami swego narodu, zwycięstwo — daj Boże — ostateczne.

NAM, świadkom tej rewji mar i cieniów, serca biły jak cudowne, natchnione zegary, wydzwaniające równocześnie godziny wielkiej przeszłości i teraźniejszości, odmierzające chwile niezwykle, przyszłości nawet w zamierzeniach regulujące tempo.

NAUKĘ jakąś trzeba nam z tej krypty królewskiej wynieść — takie nam chodziły po głowie podszepty — z tego wiecu cieniów ofiarnych mądrość jakąś potomkom przekazać... umiejętność służby karnej, wiernej, pokornej, dożgonnej.

ARMATY huczały wciąż rytmicznym grzmotem... dudniał w sklepieniu dzwonu dźwięk... DOŚĆ!...

TRZEBABY lutni Homera... trzebaby natchnionego pióra Słowackiego, lub Wyspiańskiego, aby opisać to misterjum Polski wojującej, jakie rozegrało się w podziemiach wawelskiej katedry, aby trafić do wyobraźni ludzi, co nie byli świadkami tej sceny i przekazać ich umysłom, ich sercom raczej, jej wstrząsającą wielkość i cały jej sens, tak ściśle związany z dramatem duszy polskiej, duszy polskiego żołnierza.

TAKIE są wrażenia, przeżycia, i wzruszenia najtkliwsze, wyniesione z uroczystości krakowskich, takie związane z nimi refleksje, a w ich liczbie jeszcze jedna, ostatnia, na zakończenie. SŁYSZELIŚCIE, znacie wszyscy słowa pieśni często śpiewanej przez pierwszych żołnierzy polskich:

„Nie chcemy już od was uznania“...

NIE wiercie tym słowom.

BRZMI w nich gorzka i zawód, duma obrażona i przekora.

NIE wiercie tym słowom. Ukrywają one żal, smutek, a także i wstyd żołnierzy stawiających pierwsze, a zatem najtrudniejsze kroki na drodze do wielkości i sławy, na widok otaczającej ich podówczas obojętności.

MY WSZYSCY, my żołnierze, w szeregach armji, lub na cywilnych posterunkach, walczący o wielkość i honor Państwa Polskiego, domagamy się od was uznania, nie w pochwałach, nie w oklaskach, lecz w zrozumieniu naszych trudów i ich dotychczasowych wyników, w odczuciu naszych intencji i zamierzeń, a ponad wszystko w szczerzej, obojętniej i serdecznej z nami współpracy.



FANFARY NA BŁONIACH KRAKOWSKICH



WIDOK NA TRYBUNĘ HONOROWĄ



OCZEKIWANIE NA RAPORT



ORKIESTRA 1. PUŁKU SZWOLEŻERÓW



POCZET CHORĄGWIANY



DEFILUJĄCY PUŁK ULANÓW NA TLE KOPCA KOŚCIUSZKI



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI Z GENERAŁAMI



MARSZAŁEK Z WOJEWODĄ LWOWSKIM PLK. BELINĄ-
PRAZMOWSKIM I GEN. WIENIAWĄ-DŁUGOSZOWSKIM



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI ROZMAWIA Z GENERAŁAMI I BISKUPEM POLOWYM W. P. KS. JÓZEFEM GAWLINĄ



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI, PANI MARSZAŁKOWA ALEKSANDRA, CÓRKI WANDZIA I JAGÓDKA



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI Z GENERAŁAMI



PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ IGNACY MOŚCICKI UDAJE SIĘ Z PREMJEREM JANUSZEM JĘDRZEJEWICZEM
ORAZ Z DOMEM CYWILNYM I WOJSKOWYM DO KATEDRY WAWELSKIEJ



MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI UDZIELA INSTRUKCJY GENERALOM PRZED WEJŚCIEM DO KATEDRY
WAWELSKIEJ



HOŁD PROCHOM KRÓLA JANA III W KRYPCIE WAWELSKIEJ



PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ I MARSZAŁEK JÓZEF
PIŁSUDSKI OPUSZCZAJĄ KATEDRĘ NA WAWELU

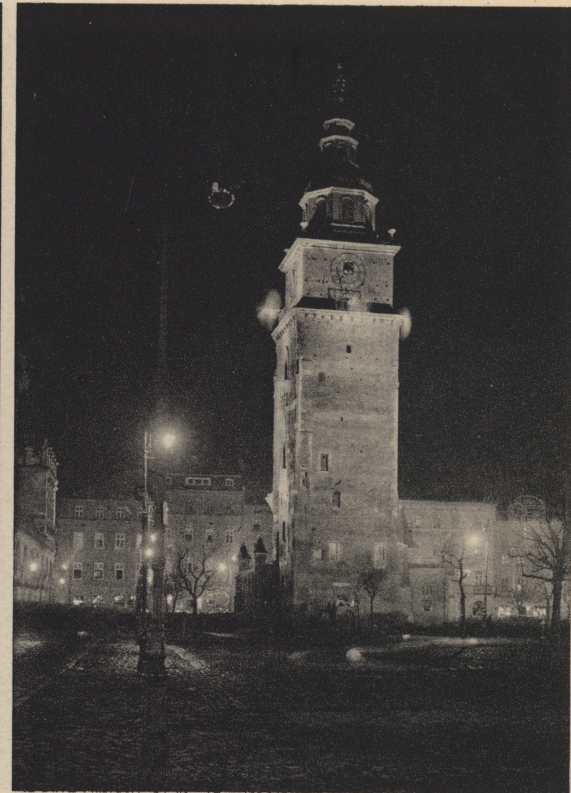


MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI ŻEGNA PREMJERA
JĘDRZEJEWICZA PO WYJŚCIU Z KATEDRY

STARY KRAKÓW W NASTROJU WIECZORNYM W CZASIE ŚWIĘTA KAWALERJI:



KOŚCIÓŁ N. P. M.



RATUSZ.



ZAMEK NA WAWELU.



BASZTA PASAMONIKÓW

FOTOGRAFJA: M. MUZEUM PRZEMYSŁOWE W KRAKOWIE, FOT. ST. KOLOWIEC — AGENCIA FOTOGRAFICZNA „ŚWIATOWIDA”, — PPOR. FRANCISZEK KUCHARSKI — FRANCISZEK PUCHAŁKA

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 332731



000-332731-00-0

DTN
BIBLIOTEKA
NARODOWA
KRAKOWIE